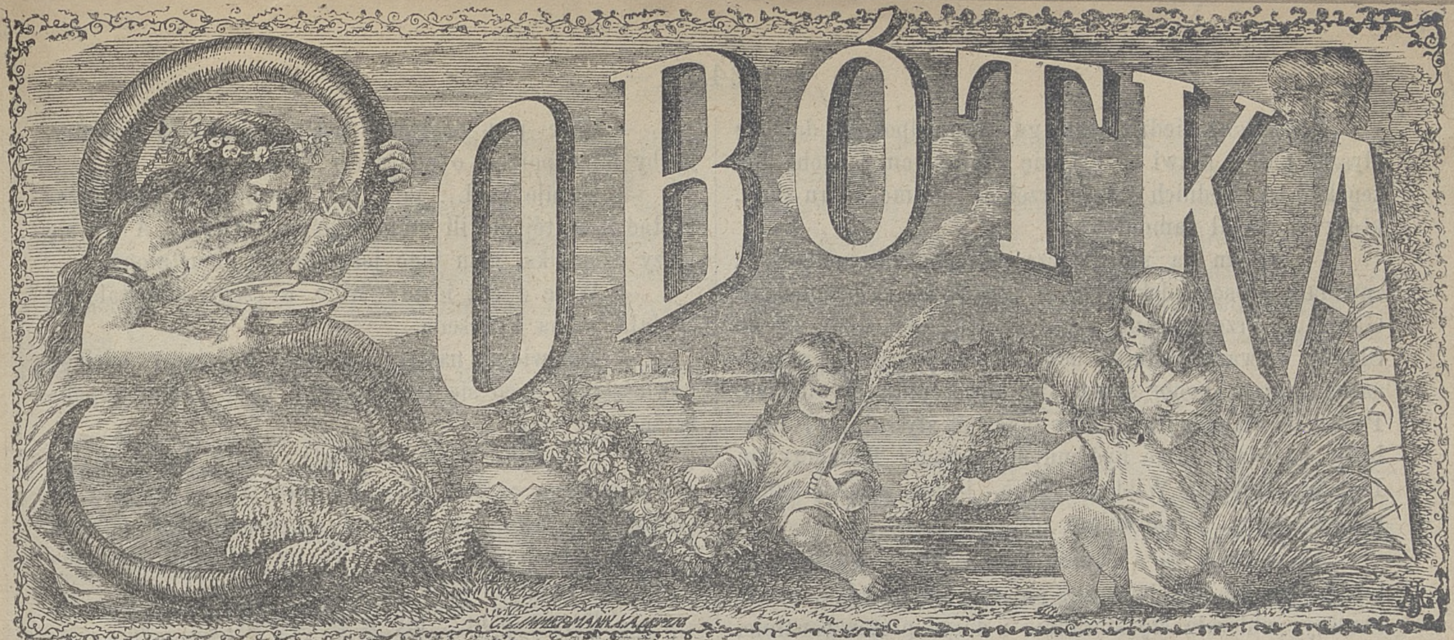


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 30. Poznań, dnia 24 Lipca 1869. Rok. I.

W MĘTNÉJ WODZIE.

Obrazki współczesne

przez **J. I. Kraszewskiego.**

(Dalszy ciąg.)

— Ponieważ, odpowiedziała zwolna Lena, zależę teraz od brata mego i nic bez jego rady nie czynię, zatém Dyrektor będziesz łaskaw z nim o tém pomówić.

— Z nim? hę? Jakto? ale ja nie znam go? i kontraktu z nim nie zrobiłem, i nie mogę pójść mu powiedzieć... To chłopiec żywy, oprysklíwy... mógłbym mieć nieprzyjemność — ale nie! niech się sobie pani z nim rozmówi...

To mówiąc, dobył z kieszeni pugilares.

— Miesiąc skończony... umówioną pensyą składam na stole, w banknotach nie publikowanych, o kwit proszę i od téj chwili jesteś pani wolną... a ja rozwiązany. Dałem na to słowo... dotrzymuję go.

— Komu? zapytała Lena obojętnie już.

— A! dałem słowo téż, że nie powiem, zawołał Dyrektor — tak! tak! że nie powiem. Pozostaje mi prośba usilna do panienki...

Złożył ręce i podniósł je do góry.

— Śliczności moje! panno Heleno! daruj mi, przebacz mi, za złe nie miéj, nie klnij, nie złorzecz i chciéj wierzyć szacunkowi, z którym zawsze mam honor zostawać.

Choć smutnie uśmiechnęła się Lena, bo Dyrektor był pocieszny w téj chwili.

— Panienko! paniusiu! panieneczko! dodał — nie frasujta się! Młodzieniec jéj brat... szlachetny, mówią wszyscy... tak! tak! — on nie da ci zakosztować goryczy... on obmyśli...

Dla mnie to większa strata! bo byłbym z panny miał taką Maryą Stuart... (pocałował się w palce)... taką Ofelią... a! a! tak! tak! coby z waćpanny nie było!! Ale z publicznością walczyć nie podobna! Siła złego na jednego... Jest nawet jakieś łacińskie przysłowie podobne, którego nie pamiętam... kończy się na... u r e s... czy u l e s... nie pamiętam... kłaniam uniżenie! tak! tak! do nóg upadam! słowo honoru, byłem zmuszony! do nóg upadam!!

Nazajutrz rano Sławek zbladły i wymęczony siedział nad stosem papierów w redakcyi, rozmyślając nad drugim już artykulikiem z wiadomości krajowych, który znowu przyszedł go ukłuć boleśnie. Brzmiał on jak następuje:

„Nowy dziennik zapowiedziany tak szumnie, któryśmy już oglądać mieli... węże podobno dusi w kolebce, z któréj się nie może wydobyć. Dwom panom służyć nie podobna, a serce zajęte przez wielkie uczucie, nie może bić dla wielkiéj sprawy... słychać, że wyjście dziennika odroczone zostało do nieoznaczonego czasu... Powitalibyśmy go byli staropolskiém — Szczęść Boże! ale podobno skończy się na nekrologu dla niedonoszonego niemowlęcia" i t. d.

Dziennik w istocie doznawszy zwłok wielu, miał nareszcie ukazać się w przyszłym tygodniu, dla tego rozgłaszano usilnie, iż cale na świat nie przyjdzie. Trzeba to było znieść cierpliwie... lub redakcyi nasłanym urzędownie listem zaprzeczyć — ale wyzywać ją do nowéj walki niemiał Sławek ochoty.

Osobiste ukąszenie bolało...

Zamyślony siedział tak, gdy wprzedpokoju dał się słyszeć hałas, drzwi otwarły się z trzaskiem i osoba płci żeńskiéj, w średnich latach, rzekła... mimo oporu sługi, który ja chciał zameldować.

— Żebym ja się jeszcze potrzebowała meldować, zawołała głosem piskliwym — słyszał kto co podobnego? Gbur?... Przepraszam pana, rzekła zwracając się do Sławka i twarz usiłując uczynić wdzięczną — przepraszam... mam honor sama się zaprezentować. Jestem Prakseda Wielebiska... Pan zapewne słyszał już? Miałożby nazwisko moje być mu nieznaném? Tłómaczyłam Legendę Wieków Wiktora Hugo, jestem wielką admiratorką jego... drukowałam też.

Ale słówko tu o pannie Praksedzie. Mogła mieć lat trzydzieści, nie była ani piękną, ani brzydką, nosiła okulary, ubierała się starannie i dosyć pretensyonalnie, ruchy miała żywe i śmiałe... Znano ją z wyobrażeń postępowych... i z wielkiéj pracowitości, wszystkie redakcye drzwi przed nią zamykać musiały — wszyscy księgarze uciekali przed nią, wszyscy literaci drzeli na widok jéj i sam postrach rozpraw które zawiązywać lubiła... Tego dnia miała na sobie suknią czarną, mantylkę i duży worek z papierami i drukami...

Nim Sławek miał czas ją przywitać, usiadła.

— Nie przeszkadzam panu? proszę ceremonii nie robić, pan zajęty??

Ja tylko parę słów mam... parę tylko. Poświęciłam się literaturze naszéj, która tak jest ubogą, z całym zapałem oddałam się jéj od lat najmłodszych... Nie wdzięczne to jest pole... ale kto uczuł powołanie? nieprawdaż?

Nie czekając odpowiedzi, mówiła daléj.

— Przyzna pan, że raz wszedłszy na tę drogę, cofnąć się już niepodobna... Chociaż krytyka zawsze zjadliwa, dosyć mi dni zatruła... i teraz też nie cofam się... pracuję. Słyszałam że pan ma wydawać dziennik, nie może istnieć bez odcinka? przychodzę mu ofiarować usługi moje... Mam poezye... poezye które znalazły powszechne uznanie... mam dwie powieści. Tytuł pierwszéj jest... Zakapturzony. Prawda że tytuł wyborny. Ja się mogę pochwalić, że mam talent do tytułów... Powieść współczesna... dotknięta w niéj kwestya niewiast w społeczeństwie... Druga ma tytuł — Mózg i serce... także nazwanie szczęśliwe... Jest tylko w czterech tomach... oparta na rozwoju uczucia... tragiczna! do odcinka stworzona! Pewna jestem, że nadałaby młodemu pismu urok wielki. Ja mam tu przyjaciół wielu między postępowemi... Możemy się umówić łatwo. Wreszcie kończę poemat w rodzaju Słowackiego — Bromira! i tem bym służyć mu gotowa! Co? Sławek odurzony tym słów potokiem, niemiał jeszcze czasu opamiętać, ani wcisnąć wyrazu, gdy pani Prakseda już po kruciuchnym przestanku poczęła daléj...

— Władam dobrze językiem polskim, niemieckim francuskim, umiem po angielsku i po włosku... mogłabym zdaje mi się być użyteczną Redakcyi — nie jestem interesowaną. Pan wie że pracy słusznie się należy wynagrodzenie, ale nie byłabym wymagającą...

Sławek niewiedział już co na tę napaść odpowiedzieć.

— Chce pan posłyszeć mały wyjątek z Bromiry, ażeby mieć pojęcie o udatności formy?

— Daruje pani... ja... ja — wolałbym sam przeczytać... w téj chwili mam właśnie wyjść... A co się tyczy dziennika, plan jego jest jeszcze nieustalony.

— Więc o cóż idzie? więc w czém nieustalony? spytała panna Prakseda.

— Nie wiemy nawet czy mieć będziemy odcinek powieściowy, a co się tyczy poezyi, tych dziennik polityczny nie znosi.

— Dziennik! dziennik pojęty wedle ducha wieku, dla szerokiego ogółu? zawołała literatka — mógłby się obejść bez tego, co stanowi najponętniejszy pokarm młodzieży, osób płci mojéj...? To by był błąd, niedarowany, nie mógłby rachować na powodzenie!

— Daruje pani... ale w téj chwili!

— Pan wychodzi? pilno mu? przepraszam, ale pan będzie pamiętał nazwisko moje — Prakseda Wielebiska... mieszkam u krewnych, ulica Turecka, numer 8... pierwsze piętro... Nawet zdaje mi się żem pana widywała, będąc na wsi w okolicy, w któréj mieszkała pani podkomorzyna... Matka moja jest z domu Kantabrien z hrabiów Kantabrien... a podobno nawet dawniéj książęcéj familii. Wielebiscy, rodzice moi mieli majątek znaczny w Wielkopolsce... Ja jestem osieroconą, ocaliłam część majątku i mając zapewnioną skromną egzystencyą, oddaję się poezyi i piśmiennictwu... Na nieszczęście u nas brak przedsiębiorców, organów, współczucie i głos mój ginie stłumiony...

Sławek nie mógł nic mówić, tak był zmięszany płynnością mowy p. Praksedy... kłaniał się tylko.

— Niechże mnie pan też odwiedzi? na herbatę kiedy? przeczytałabym panu choć jedną pieśń Bromiry, lub parę urywków z Zakapturzonego. Wcieliłam do téj powieści nieco poezyi, jak Shakespeare do niektórych swych dramatów prozą... Dosyć szczęśliwie mi się to udało...

P. Prakseda wstała, uśmiechnęła się, podała już rękę Sławkowi, a jeszcze odejść nie mogła.

— Więc mam nadzieję do zobaczenia — tak? Młyński mruczał niezrozumiale coś i przyprowadzał do drzwi.

— Ulica Turecka numer ósmy... Pan mi daruje, żem mu się narzuciła, ale ja nie zwracam uwagi na przestarzałe formy. Trzeba mieć odwagę zdeptać je... i wzgardzić przesądem. Dla czegoż by kobieta nie miała równego prawa pójść, podać rękę pracującemu na jedném polu...

Do zobaczenia...

Zdaje się, że wyszedłszy na ganek pani Prakseda mówiła jeszcze... ale Sławek już siedział w fotelu i odpoczywał, gdy — był to dzień feralny prawdziwie służący oznajmił pana Aurelego Matapackiego...

Ponieważ p. Aureli spotkał się w ganku z p. Praksedą, nie podobna było go nie przyjąć.

P. Aureli miał lat pięćdziesiąt, kulał na jedną nogę, u guzika miał jakąś wstążeczkę... surdut zapięty pod brodą, ubranie wyszarzane, wąsy duże... postawę profesorską, pół żołnierską, Sławek podniósł się na powitanie go.

— Aureli Matapacki, doktor filozofii, rzekł chrząkając — nazwisko moje znanem panu być musi? Jestem, jak wiadomo autorem przekładu rozprawy znakomitego filozofa francuskiego „o zgryzotach sumienia“ przekładałem także Bokoliki Wirgiliusza, począłem jak wiadomo Lukrejusza... a teraz zajmuję się dykcyonarzem łacińskim...

— Czemże doktorowi służyć mogę? spytał Sławek.

— To ja, to ja zwracam do pana pytanie, czem mu użytecznym być mogę? Pan jak słyszałem, wydawać ma dziennik? tak?

— Tak jest...

— Nic właściwszego jak w odcinku dla wszczepienia dobrego smaku w nowe pokolenia, dać Bukulik. Wirgiliusza... lub niektóre ułamki Lukrejusza, albo li też z Metamorfoz coś. Ułamkowo pracowałem nad Metamorfozami...

— Szanowny doktorze... to dziennik polityczny.

— Rozumiem, wszakże nie przeszkadza to, by się i literaturą zajmować nie miał... ale zdrową, klasyczną, Wreszcie kto ma styl, naukę, wytrawność, może pisać lub przekładać z pożytkiem — co, zechce... ofiaruję panu pomoc moją. Tu nikt pisać nie umie, to studenci, to fuszery panie dobrodzieju... to tałatajstwo... maroderzy...

— Co do dziennika, odparł zafrasowany Sławek — jeszcze nic pewnego nie ma jaki program ostatecznie będzie przyjętym... Daruj doktór, że się też nie mogę zobowiązywać.

— A! jak się podoba! jak się podoba! ja się nie narzucam nikomu! Znam wartość swoją... Ale jeśli państwo zechce mi stworzyć rzeczywiście po polsku pisanego i poważnego, to bezemnie nie obejdziecie. Mnie tu znają, ale intrygi! intrygi niecne.

Do nóg upadam!

Wyszedł, ale się drzwi nie zamknęły, gdy chudy, blady młodzioniaszek nieśmiały, choć szydersko uśmiechnięty, wpadł do pokoju — czekał jak się zdaje w przedsieni na oddalenie się doktora. Sławek już był tak znużony jak czytelnik, któremu ten najazd przedstawiamy, porwał się od stołu przepraszając...

— Emil Zaparski... pan dobrodziéj Podkomorzyc Młyński? Redaktor nowego dziennika — Chwila? jeśli się nie mylę.

— Tak.

— Przychodzę jako współpracownik, wiedząc, że dziennik bez sił młodych istnieć nie może... Młodość jest wyrazem wieku... w niéj jego siła...

— Cóż byś nam pan mógł dać? zapytał Młyński, przyglądając się twarzy zwiędłéj wprawdzie, ale jeszcze nawet nieokrytéj włosem.

— Wszystko co pan dobrodziéj zechce. Władam piórem dzielnie... mam rzeczywisty talent, któremu przyznają świeżość i oryginalność. Sam się chwalić nie mogę... Ale może pan czytał moją krytykę pana Tadeusza, w któréj z błotem zmięszałem te mniemaną epopeję i postawiłem jéj autora tam, gdzie oddawna zasłużył być pomieszczonym.

— A! a! rzekł uśmiechając się Sławek.

— Tak jest... Słowackiego teraz rozbieram... o innych mówić niema co — to są trupy i to zgnilizna!! Nowa poezya dopiero się ma naradzić. . Ja mogę do dziennika co zechcę... studya... obrazy obyczajów... dziejowe rysy... polityczne, wstępne artykuły... cokolwiek będzie potrzebném — nawet powieść! Jestem autorem — krwawéj Chmury, pod pseudonymem Emila Lapislazuli... Tak! Lapislazuli to ja, panie dobrodzieju.

— A! a! powtórzył Sławek, którego to niemal bawić zaczynało.

— Musiałeś pan skończyć studya uniwersyteckie?

Lapislazuli uśmiechnął się pogardliwie.

— To są przesądy te studya... to jest gymnastyka tylko... Geniusz jéj nie potrzebuje, mając siły rodzinne... Studya zabijają właśnie oryginalność, traci się świeżość tchnienia... rzut, werwę...

— Wszakże zapas wiadomości przynajmniéj... przerwał Sławek

— Ale ja czytam, ogromnie! czytam...

— Ma pan łatwość do języków...

— Nie — języki psują styl... umiem naturalnie po niemiecku, innych nie chciałem się uczyć z zasady...

— A! a! ale mi się zdaje dla literata niezbędne...

— Tak! dla literata? ja będę wieszczem lub niczém... To co dziś piszę, jest tylko przejściowe... wprawiam się na krytyce, wyrabiam styl... ale całą siłę wyleję w wielkim poemacie... i to są dotąd tylko zarysy, widma przyszłości...

Szanownemu Lapislazuli, tę samą dał niemal odpowiedz Sławek co jego poprzednikom i miał już drzwi zamknąć wszystkim, gdy wszedł przyjaciel Samiel.

Młyński odetchnął, postrzegłszy go i widząc że serya kandydatów do współpracownictwa na dziś się wyczerpała. Samiel który teraz był w wielkich łaskach u hrabinéj Wartskiéj, a przyczynił się do wysadzenia ztamtąd, zawadzającego mu Sławka, grał jeszcze rolę najczulszego przyjaciela, choćby dla tego, żeby wiedzieć o jego obrotach Młyński rad mu był prawie.

— Cóż mi przynosisz? zapytał...

— Powiedz lepiéj co u ciebie znajduję... odpowiedział Samjel — cóż? dziennik?

— A no! idziemy ku niemu.

— Znasz już artykuł gazety?

— Leży na stole.

— Trzeba nań odpowiedzieć i

— Zdaje mi się że nie — odrzekł Sławek... na takie napaści, milcząca wzgarda odpowiedzią całą.

— Co zaszło między tobą a hr. Wartską, spytał filut, udając, że nic nie wie — przestałeś tam bywać... kilka razy wspomniałem o tobie, jakoś mi nie odpowiedziano... co to jest?

— Nic niema? czasu mi brak... jestem zajęty... zresztą chcę i muszę całkiem się od świata usunąć.

— To źle, kochany, dziennikarz musi żyć w świecie i trzymać na jego pulsie.

Sławek odwracając rozmowę spytał o zdrowie tych pań.

— Jak najlepsze, panna Jadwiga, cudne dziewcze, szczebiocze... mama miła i dobra... usiłuje ściągnąć najlepsze towarzystwo do siebie. Wprawdzie Drejssowa także ma dawać wieczory, ale śliczna hrabina przemoże ją...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Lelewel w Brukseli.

(Z ryciną.)

Nieraz pamiętniki i życiorysy ukazują nam niepospolitych ludzi en deshabillé, kontrastujących z dodatniém wyobrażeniem, jakie utworzyliśmy sobie o nich z ogólnych objawów ich życia.

Czasem znów wśród drobnych szczegółów codziennych, w domowém kole, w chwilach, w których człowiek pokazuje się najwyraźniéj jakim jest, niepospolite postacie niektóre jeszcze szlachetnieją i większym urokiem oświecają swoje wspomnienie.

Niema zaiste wielkiego męża polskiego, któregoby życie codzienne tak spójnie dopełniało publicznego, odznaczało się tylu oryginalnemi, a zawsze najzacniejszemi rysami — jak lata wygnańcze, które Lelewel spędził w Brukseli.

Niezmordowany ten apostół wolności ludowéj i religijnéj, którego w 1832 obawiając się republikanckich jego wyobrażeń, rząd Ludwika Filipa przymusowo wywiózł z Francyi, osiadłszy w stolicy Belgii, postanowił od nikogo żadnéj, a żadnéj pomocy nie przyjmować i utrzymywać się li z własnéj pracy.

Zadanie to nie byłoby trudne, gdyby mógł się oderwać od swoich głębokich badań historycznych, z których najważniejsze opracował w Brukseli.

Czyż mógł się od nich oderwać i dla powszedniego chleba mniéj pracowicie spełniać swoje posłannictwo?

Wprawdzie za dzieła jego mu płacono, jak to wówczas w Polsce nader skromnie — ale wygotowanie dzieła wymagało nieraz dużo czasu, a trzeba było koniecznie codzienne potrzeby opędzać przez długich kilka miesięcy.

Żył też w takiém ubóstwie i niedostatku, jakiegoby nie zniósł najbiedniejszy rzemieślnik brukselski.

W nędzném mieszkaniu, które zajmował przy ulicy du Chêne nad szynkiem Warszawskim, Estamenet de Varsovie, następnie przy ulicy des Eperonniers nigdy nie palił w piecu, chociaż w tutejszym wilgotnym klimacie zimno bywa nieraz bardzo dokuczliwe.



Dom w którym mieszkał Lelewel w Brukseli

(wedle fotografii zdjętéj z natury dla „Sobótki.“

— Można — mawiał — obejść się bez ognia, ale nie można się obejść bez światła.

Mimo bardzo osłabionego wzroku najlepiéj lubił pracować w nocy.

Jadał obiad po 36 centymów (około 18 groszy polskich), a najczęściéj nie jadał obiadu, żywiąc się najnieregularniéj kawą, chlebem z małym kawałkiem wędliny.

Garderoba jego składała się z czapki z daszkiem, z bluzy niebieskiéj, która się nieraz w bardzo opłakanym stanie znajdowała, z wytartego zimowego płaszcza, z przerażająco łatanego fraka, który jeszcze przywiózł z Warszawy w 1831, a który tylko w ważnych przywdziewał okolicznościach i z sękatego kija, którym się podpierał.

Idąc schylony przez ulicę w płaszczu lub w bluzce wyglądał tak nędznie, że go parę razy policyanci, którzy go nie znali, zaprowadzili do ratusza, myśląc, że to żebrak lub włóczęga.

Naśmiał się potém dobrotliwie z ich zadziwienia, kiedy się dowiedzieli, że tym mniemanym włóczęgą był ex-minister, członek rządu polskiego i zapewne figura, kiedy sam pan burmistrz i panowie ławnicy pierwsi przed nim zdejmują kapelusz.

Brukselczycy, którzy głównie wyrobili sobie wyobrażenie o Polakach z tych zamaszystych, a eleganckich oficerów polskich, którzy wtedy liczni w wojsku belgijskiém służyli, nie mogli oswoić się z myślą, żeby ten zgarbiony dziadowina w bluzie, który nieraz na ulicy jadał bułkę i zapijał wodę źródlaną, taki potulny i ludowy, mógł być kiedyś dygnitarzem i dotychczas wielkim uczonym.

Do kawiarni, gdzie Lelewel uczęszczał na gazety, bardzo wiele osób przychodziło po to jedynie, aby go zobaczyć i wyciągnąć na gawędkę.

Raz po dwutygodniowéj nieobecności, spowodowanéj chorobą, Lelewel zaszedł swoim zwyczajem do téjże kawiarni na gazety. Uradowany gospodarz, mniemając, że mu nader zręczny wypadł komplement, rzekł mu z przyjaznym wyrzutem:

— Dzięki Bogu, że pan wyzdrowiałeś, straciłem na pańskiéj nieobecności przynajmniéj z paręset franków.

— A to jakim sposobem?

— Więc pan się niedomyślasz, że bardzo wiele osób po to przychodzi tutaj, żeby zobaczyć takiego sławnego Polaka jak pan?

Obeszło to Lelewela. W prostocie swojéj, nigdy się niedomyślał, żeby mógł być przedmiotem podobnéj ciekawości, mruknął pod nosem, że jeszcze więcéj osób chodzi do menażeryi.

Nielubiąc pokazywać się, owszem lubiąc zacierać się i znikać w tłumie — przestał bywać w téj kawiarni.

Kilku znakomitych Belgów, co z nim weszło w przyjaźne stósunki, pragnęło przyjść delikatnie i zręcznie w pomoc temu bohaterowi nauki, pracy i niedostatku usiłowali bez obrażenia godności jego wynaleźć mu odpowiednie, a łatwe zajęcie.

Za staraniem pana Rogier, ministra spraw zagranicznych i pana Plot, dyrektora biblioteki publicznéj — zaproponowano mu posadę konserwatora gabinetu medali i numizmatów w téjże bibliotece, z pensyą 2000 fr. rocznie. Na nieszczęście medale i numizmata znajdowały się w tak małéj ilości, że Lelewel domyślił się natychmiast, iż chciano mu ofiarować synekurę, wręcz więc odpowiedział.

— Trzeba żebyście panowie mieli naprzód medale i numizmaty — to potem pogadamy o posadzie.

Ofiarowano mu następnie ułożenie biblioteki miejskiéj w ratuszu za wynagrodzeniem 2000 fr. Lelewel zgadzał się na ułożenie biblioteki — ale nie na honoraryum, które się mu wydawało za wielkie i które zniżył do 300 fr. — niechcąc w tém targowaniu się oryginalnem o mniéj odstąpić od swojego minimum.

Burmistrz i ławnicy, którzy dla niego to zatrudnienie wynaleźli, nie mogąc zezwolić na tak nizką cenę mozolnéj pracy — z żalem musieli mu odmówić, a Le-

lewel żalił się przed rodakami, że mu chciano dwukrotnie łaskawy chleb ofiarować, którego niepotrzebuje, bo może wyżyć z własnéj pracy.

Dodawał nadto, że w Belgii, kraiku niemieckim a nadzwyczaj zaludnionym, cudzoziemcy krzywdę wyrządzają Belgom, jeśli mogąc obejść się bez posad, zabierają je i wydzierają tym sposobem kawałek chleba krajowcom, którzy do niego pierwsze mają prawo. Żył w ścisłych stósunkach przyjaźni z kilku Belgami: z panem Gendebien, członkiem kongresu, żarliwym liberalnym deputowanym, którego Lafayettem belgijskim nazywano; ze znanym historykiem i profesorem uniwersytetu Altmeyerem, a najpoufaléj z p. Doyen-Drouot, kupcem i ławnikiem, w którego domu dosyć często bywał — i którego przeżył.

Wdowa po p. Drouot, osoba można i ludowych dążności taką czcią pałała dla republikanckiéj cnoty i nauki Lelewela, że mu zapisała testamentem 600 fr. rocznie dożywocia. Dobroczynna ta kobieta zapisała prócz tego parękroćstotysięcy fr. na założenie szpitalu dla chorych ubogich, z warunkiem aby portret Lelewela raz na zawsze w wielkiéj sali umieszczono. Szpital ten istnieje. Lelewel wezwany przez notaryusza, który był eksekutorem testamentu pani Rozalii Doyen-Drouot rad nie rad musiał przyjąć ten spadek, który po 50 franków miesięcznie miano mu wypłacić.

Nie wielka ta sumka, dla człowieka, co tak mało miało miał potrzeb, prawdziwym była majątkiem, mogła mu ułatwić prowadzenie wygodniejszego nieco życia, które w podeszłym jego wieku, przy skołatanem zdrowiu — stało się niezbędnem.

Lelewel jednak użył wszelkich sposobów, ażeby się wywiedzieć, czy pani Drouot nie zostawiła jakiego biednego krewnego lub krewnéj. Jakoż wynalazł jednę jéj krewną, niewidomą, którą błagając, żeby go uwolniła od ciężaru tego spadku, który dla niego był użyteczny — jak najskrupulatniéj do swojéj śmierci przesyłał jéj 50 fr. miesięcznie.

Wielu uczonych, profesorów Uniwersytetów z Francyi, z Niemiec, ze Szwecyi, z Danii przejeżdżających przez Bruksellę — poczytywało sobie za zaszczyt i obowiązek odwiedzać ubogą izdebkę naszego wielkiego historyka, podziwiać gienialną jego naukę, głęboką erudycyę i unieść rzewne wspomnienie téj skromności, téj prostoty myśliciela, której wzory chyba w starożytnym znajdziesz świecie.

Wreszcie postać ta, zamieszkująca przez dwadzieścia kilka lat Brukselle, wzrosła w jéj bruk, spopularyzowała się niesłychanie, została jedną ze znamienitości miejscowych, którą się chlubili Brukselczycy.

Wszyscy przyglądali się z szacunkiem temu pochylonemu, a najzacniejszemu przedstawicielowi Polski ludowéj i bolejącéj, kochali zaś pracownicy w bluzach, tego mędrca w bluzie, do którego raz zadziwiony listowy przyniósł list z Ameryki zaadresowany: Mr. J o a c h i m L e l e w e l — en E u r o p e.

(Dokończenie nastąpi.)



Sukiennice w Krakowie.

(Z ryciną.)

Na środku rynku krakowskiego wznosi się rudera nie uderzająca w oczy widza niczem, chyba swoim monstrualnym ogromem. Tynk i farba opadły, a z pod téj powłoki wynurzyły się obszarpane i brudne mury, ramy pozostałe u okien świadczą, że kiedyś w błogiéj swéj przeszłości zaopatrzone były w szkła czyste i jasne, przynajmniéj ich wielkość daje o tém wnioskować — żadnéj proporcyi i symetryi. Gmach cały składa się niby z dwóch połówek, w niczem do siebie niepodobnych, chyba wspomnianym obszarpaniem i brudem. Górna część składa się z 4 ścian, które widz fantazyą swoją dopełnia, improwizując dach, a tém sposobem tworząc salę. W dolnéj części sklepy i stragany bez ładu i składu rozrzucone, bramy podwójne żelazne zaledwie wiszą na zawiasach, tu i owdzie zewnątrz poprzyczepiane chałupki, które znoszą dla oka ludzkiego symetryą wynikającą z prostokątnego planu budowy. Słowem rudera tu przypomina effektowne, jakkolwiek czarne obrazki i powieści, gdzie stoi pochylone domostwo... zimno i wiatr przewiewa przez dziurawe ściany z przeraźliwem świstem... zgrzyt zawiasów... drzenie okien... którego to obrazu dopełnienie zostawiam czytelnikom. — Rudera ta nazywa się S u k i e n n i c a m i.

— Przepraszam cię czytelniku, który nie byłeś w Krakowie. Sprawiłem ci przykrość niszcząc obraz ułudny utwór fantazyi, a na jego gruncie stawiając nieubłaganą, smutną rzeczywistość. W twéj wyobraźni wznosiła się zapewne budowla okazała, piękna, symetryczna, imponująca, dziecko wieków świetnéj przeszłości narodowéj, kolebka handlu i bogactwa Polski, świadek olbrzymich czynów narodu. W opuszczeniu placu jak dziecię zaniedbane przez matkę — jestto sierota skarząca się na swój los i wyrzucająca dzisiejszemu pokoleniu niedbałość o zabytki narodowe, a prze-

cież istnienie tego gmachu i jego losy łączą się z losami całego narodu. Popatrz nań wśród ciszy nocnéj, niech fantazyę twoją rozbudzi tajemnicze półświatło księżyca — on śpi tylko pozornie teraźniejszość chce go złożyć do grobu, ale on żyje i życie rodzi, bo on ci opowie dzieje przeszłości, szeptem cichym jak szmer strumyka, jak powiew lekki zefiru odsłoni swe serce — tajemnic wieków, i staną ci przed oczami postacie olbrzymie, rynek zapełni praojcami twymi w zbrojach i kontuszach, posłyszysz brzęk szabel i przed wzrokiem twoim przeciągnie orszak koronacyjny i smutny obrządek pogrzebowy królów i trofea zwycięzkie. On ci opowie jak cieszył się w chwilach szczęścia narodu i jak płakał w upadku — bo z upadkiem narodu łączy się jego ruina. O wtedy groza wieków przejmie duszę twoją i usłyszysz w jego murach zgiełk, wrzask, śmiech, krzyk, rozmaitość mowy. To kupcy z całego świata, ze Staréj Norymbergi, bogatego Wschodu, z Wenecyi, Wiednia zjechali na targi — bo Kraków ludny i bogaty, skład towarów na kraj cały. 80000 mieszkańców uwija się na jego ulicach.

Pszenica, drzewo, wyroby wełniane, burki, czapki, materye nieprzemakalne, suknie łowcze i tym podobne dzieła pracy i przemysłu narodowego płyną Wisłą do cudzych krajów w zamian za lite materye i wytworne dzieła sztuki. Bo naród mający podostatkiem chleba i soli, bogactwem dorósł do wysokiego dobrobytu, a nawet zbytku. Kazimierz Wielki nadużyciom w bogatych strojach, potrawach i w ogóle w wszystkiem co wpadało w zakres zbytku, musiał stawiać już zapory.

Sukiennice opowiedzą ci ostatnie chwile narodu, pełne drgań konwulsyjnych i wytężenia ducha narodowego — one miały w swych murach ostatniego króla polskiego Stanisława Augusta r 1779 — w nich wyprawiano bal na cześć księcia Józefa Poniatowskiego i walecznych jego towarzyszów broni — one podejmowały księcia warszawskiego, a króla saskiego i królewnę saską infantkę polską r. 1810 — tam obchodzono zaprowadzenie rzeczypospolitéj krakowskiéj. Na pierwszym i drugim balu zajaśniała jeszcze zamożność kraju, snać naród trzymał się jeszcze silnie, mimo wojen i burz przechodzących na horyzoncie naszéj ojczyzny. Szczytny z tych czasów maluje nam obraz p. Kremer w swéj pracy o Sukiennicach. Odświeżono malowania na ścianach, które też ustroiły się w zwoje i bogate wieńce żywych kwiatów i liści. Nad sklepem w oknach wisiały transparenty z napisami. Odnowiono kotwice, owe świeczniki, wypożyczono z domów prywatnych niezliczone mnóstwo zwierciadeł, które rozwiesiły się gęstym szeregiem wzdłuż ścian. Owe dwa poprzeczne ramiona oszalowano deseczkami; ramię lewe idące ku ulicy Siennéj, ozdobione we festony i opony z muszlinu zamieniono na pyszny salon, przeznaczony dla dam. W ramieniu zaś przeciwległem, zwróconém ku ulicy Siewskiéj wspaniałe przybraném w adamaszek czerwony i rzęsisto oświeconem stał tron pod baldachimem, na tronie transparent z literą N; a przed tronem z karabinami u nogi dwóch ogromnych wąsatych grenadyerów; na głowach ich sterczą owe historyczne olbrzymie czapy niedźwiedzie. Po całéj podłodze téj niezm ernéj przestrzeni rozpięte było sukno czerwone, dostarczone bezpłatnie od kupców sukienniczych. W środku unosił się pod sklepieniem w wielkich rozmiarach transparent z orłem polskim. Nad wchodami po obu końcach téj nieprzejrzanéj sali wzniesione były galerye (niedawno rozebrane) na nich brzmiały orkiestry — tak dwie muzyki wtórowały tańcom, a dla długości sali jedna muzyka n'e przeszkadzała drugiéj. Wzdłuż boków przy ścianach umieszczono kanapy, sofy, krzesła wypożyczone z mieszkań prywatnych — Kraków ówczesny jeszcze się nie był wyrzekł staropolskiéj gościnności. Sklepy były świątecznie ustrojone jedne zamienione na restauracye, inne na cukiernie, w innym znów raczono gości wszelkiem winem itd., a to wszystko bezpłatnie na koszt miasta. Cała ta ogromna sala zalana istną powodzią światłości płynącéj od tysiąców świec i lamp umieszczonych przy ścianach liniami wdzięcznego rysunku. Roiły się tłumy gości w kilka tysięcy osób, bo cały Kraków i okolice jego zebrały się na tę uroczystość. Jaśniały damy w świetnych strojach lśniących klejnotami, a wśród ubiorów cywilnych, błyszczały różnobarwne bogate mundury oficerskie."

A teraz o powstaniu Sukiennic. Najpierwsze wspomnienia o Sukiennicach znajdujemy w nadaniach miastu Krakowowi za czasów Bolesława Ws ydliwego. Znany jest ten monarcha z nieszczęśliwych swych rządów. Tatarzy pustoszą kraj, a Kraków szczególniéj ucierpiał od ich napadu. Wiele domów zgorzało, wielka liczba mieszkańców straciła cały swój dobytek. Prócz pożaru nawiedziło miasto na domiar nieszczęście trzęsienia ziemi. Te przyczyny ruiną groziły miastu. Bolesław Wstydliwy chcąc klęski mieszkańców powetować a zarazem pomódz tak odbudowaniu się miasta, jako téż podreperowaniu fortun, nadaje miastu prawo teutońskie r. 1257, obdarza lasem, uwalnia od czynszów i powinności z wyjątkiem sklepów z suknem, z których czynszu $^5/_6$ idzie do skarbu a $^1/_6$ ma być spłacaną wieczyście wójtowi. Jednakże nie należy sądzić, by owe wspomniane w nadaniu Sukiennice były tem, czém stały się późniéj i czém są dzisiaj. Mogły być i były zapewne przed napadem Tatarów. Spalone, odbudowane zostały z drzewa darowanego przez Bolesława. I nie inaczéj można je sobie przedstawić, jak szereg podwójny kramów, układem swoim tworzących wewnątrz między sobą ulicę. Że nie były murowane świadczy i to, że wówczas nawet zamek na Wawelu, rezydencya królów, był wystawiony z drzewa, toż samo miało się z większą liczbą domów krakowskich. Leszek Czarny podnosi dobrobyt Krakowa, przywilejem z r. 1288, wynagradzając mieszczan za opór stawiony Tatarom, pozwala Krakowianom handlować po wszystkich jego ziemiach bez opłacenia cła i opłaty. Ale za czasów wojen Wacława Czeskiego i Władysława Łokietka, miasto znów zubożone zostało. Łokietek wdzięczny za wierność, jaką mu miasto dochowało, r. 1306 wyznaczył wójtom krakowskim na wieczyste czasy dochód z sklepów sukienniczych i zatwierdził przywileje Leszka, odnosząc się do wolnego handlu. Nadto miasto uczynił d e p o s i t o r i u m h a n d l o w e m, składem towarów zagranicznych, niby w dzisiajszym znaczeniu komorą. Odtąd kupcy zagraniczni sprowadzający do Polski, nie mogą omijać Krakowa. J u s t o d e p o s i t o r i u m rozszerzane było z wielką korzyścią dla handla krakowskiego za następców Łokietka. Nadto król ten darował las i przeprawę przez Wisłę pod zamkiem, z warunkiem wystawienia mostu z dochodów.

Bardziéj przyczyniał się do wzrostu miasta i handlu pokój panujący niemal przez cały czas rządów Kazimierza Wielkiego. Wtedy to Ludwik węgierski, siostrzeniec Kazimierza, daje swobody miastom na Spiżu, na czém handel z Krakowem zyskuje, a Elżbieta królowa węgierska i Rudolf, książę austryacki, obdarzają Kraków przywilejami r. 1362. Odtąd wiedeńscy i krakowscy kupcy mają otwarty wolny handel w obydwóch miastach.

Wzmógł się Kraków za Kazimierza Wielkiego — w owych czasach znalazł fundament swego dobrobytu i bogactwa także u Jagiellonów, a mianowicie w początkach panowania Zygmunta Augusta wstępuje w związek miast hanzeatyckich. Handel silnie wzrastał z Niemcami południowemi i Wenecyą. Bogactwem za Kazimierza, słynie Kraków; dosyć wspomnieć o Wierzynku. Naturalnie że przy rozszerzeniu handlu i Sukiennice zyskały. Drewniane sklepy zamienione zostały w murowane przez Kazimierza Wielkiego, król ten dołączył nadto 8 sklepów sukiennych, 22 straganów, dwie izby do postrzygania sukna. Liczba sklepów wynosiła 35, liczba uderzająca podobieństwem do dzisiejszéj 36. Co

do zewnętrznéj postaci Sukiennic w owych czasach prawie nic nie wiemy. Są tylko domysły mniéj lub więcéj prawdopodobne, oparte na dzisiejszym badaniu budowli przez architektów.

Sukiennice mają 180 łokci długości, a szerokości 17 łokci — w sali dolnéj do 4000 ludzi pomieścić się może, wejście do sklepów z wewnątrz. Pierwotnie za Kazimierza nie było sklepienia, dwa szeregi sklepów na zewnątrz, tworzyły między sobą ulicę, wysokość murów nie sięgała poza ramy dzisiejszych okien, prawdopodobnie budowla ta kończyła się po obu końcach ostrołukiem z podwójnemi arkadami, do których późniéj przybyły zewnątrz podwójne arkady koliste. Budowa oprócz utylitarności była dziełem sztuki gotyckiéj, zmodyfikowanym stylem piastowskim, lub jak Niemcy nazywają ten charakter ostrołukowych budowli odcieniem Wiślano-Bałtyckim. Handel w owych czasach nie był prowodzony towarem zapożyczonym z zagranicy, ale w kraju wyrabiano sukno. Świadczy o tém przywiléj Kazimierza Wielkiego, bo Kraków był składem wełny koźléj, sprowadzonéj z ziemi Ruskiéj Jest to pierwszy peryod Sukiennic. W drugim handel się podnosi w skutek połączania się Litwy z Polską za Władysława Jagiełły, gdzie handel krakowski znalazł szersze dla siebie terytoryum, a Jagiełło przywilejem z r. 1389, pozwala miastu Kazimierzowi pod Krakowem, zbudować 25 sklepów sukienniczych. Prawdopobnie za czasów Kazimierza Jagiellończyka, podwyższono podłużne mury budynku — może zbudowano i pułap, podparty przez drewniane słupy idące środkiem, a tem sposobem tworzące dwie nawy, dach zaś pokryto dachówką czerwoną. Nieszczęścia Sukiennic stanowią trzeci peryod téj budowy, który przypada na wiek XVI. R. 1555 za Zygmunta Augusta pożar nawiedził miasto, a więc i Sukiennice ucierpiały, wielce. Mieszkał wtedy Włoch z Padwy Jan Marya Padovano, o którym p. Grabowski cytuje stare wiersze:

Włoch kamienie hebluje,
Piękne gmachy muruje —
Kościoły, zamki, wieże,
Posągi żywe i wyrzeże
Co w rękę weźmie, zrobi,
A wszystko ozdobi.

Ten Padevano pozostawił po sobie wiele robót, między któremi wymienię tylko ołtarz ciborium w kościele panny Maryi w Krakowie — on też wziął się do odbudowania Sukiennic w stylu renesans zmienionego w barroko.

R. 1589 za Zygmunta III Sukiennice znów poniosły klęskę w skutek pożaru. Zajął się wtedy odbudowaniem ich kuśnierz i rajca krakowski Stanisław Cirus, który z wielkim kosztem mury odnawiał. Restauracya ta doznawała częstych przerw, i dopiero r. 1647 ukończoną została, o czém świadczy pozostały jeszcze napis od ulicy św. Jana „Restauratum a. 1647. W tych też czasach, bo r. 1601 Joachim Ciepielowski, rajca krakowski przybudował własnym kosztem domek od strony ulicy Szewskiéj, zwany Langerówką i w tymże czasie stanął drugi od ulicy św. Jana, zwany Syndykówką. Łatwo z tego pojąć, że pod temi restauracyami pierwotny charakter budowli Sukiennic, skrył się prawie zupełnie, a w skutek nowych przybudowań spotworniał. To też dziś tylko specyalista z wiadomych sobie śladów. może odkryć pierwotną kazimierzowską budowlę, ale nawet i ten w swojem przekonaniu nie może być ugruntowanym, skoro w téj kwestyi podnosiły się różne głosy wprost sobie przeciwne. Poślijmy za panem Łepkowskim, który w swéj pracy gruntownéj zbił zdanie przeciwników występujących z stylem wschodnim bizantyńskim i dowiódł pierwotnéj budowy gotyckiéj, zmienionéj w styl zepsutego renesansu w barroko. Od ostatniéj restauracyi cisza panuje do r. 1700. W tym czasie magistrat wykazywał potrzebę odnawiania Sukiennic. Sprawa ta przeciągnęła się do r. 1774, w którym zrobiono lustracyą sklepów, aż w końcu głosy umilkły. Czasy Rzeczypospolitéj krakowskiéj cechuje straszna niedbałość o zabytki przeszłości, a nawet wandalizm dochodzi do tego stopnia, że zniesiono ratusz r. 1820. Nadaremnie r. 1825 Artur hr. Potocki podawał wniosek w izbie poselskiéj, ażeby Senat wziął pod opiekę zabytki sztuki. „Porządek w kraju, są szczytne jego słowa, i dobre mienie mieszkańców, są zapewne jednym z ważnych celów rządu każdego — cieszę się więc że pilnie o nie dbamy; pozostaje nam jednak jeszcze święty do spełnienia obowiązek, bo z odpowiedzialnością połączona straż i piecza około przeszłości zabytków. Na téj klasycznéj ziemi pamiątek ojczystych otoczyły nas wieki pomnikami świetnych czasów, a przeszłość kamienie mówić nauczyła. Obawiam się, aby kiedyś nasi następcy nie zawołali na nas: żeśmy wiele uczynili dla wygody i pożytku własnego, a nie zrobiliśmy nic dla przeszłości i odziedziczonych po niéj sztuk pięknych zabytków.“ Słowa te sprawdziły się — ale powiedzmy, czy my mamy prawo jako wyrzut przeszłości powtórzyć je? czy i o nas nie odezwie się tak nowe pokolenie? Powtórzyłem też te słowa, bo one żywcem dadzą się zastósować do naszych czasów. Wniosek hr. Potockiego upadł, głos szlachetny przebrzmiał wśród milczenia, obojętności i martwoty chińskiéj. Daremne są usiłowania ks. kanonika Sebastyana Sierakowskiego, który przesyła r. 1818 Feliksowi Grodzickiemu, senatorowi Rzeczypospolitéj krakowskiéj, plan restauracyi przez siebie wykonany, oświadczając, że i kupcy posiadający swoje składy w Sukiennicach, pragną się przyczynić do odnowy. Złożono komisyę, deliberowano nad projektem aż w końcu milczenie sprawę uniemożebniło. Roku 1833 Hilary Mecisz wski podniósł znów na sejmie myśl odnowy Sukiennic, a to wskutek żądań obywateli, ażeby zmieniono kramy i budy otaczające gmach, iżby kupcy znagleni byli do wynajmowania mieszkań w ich domach. Egoizm i niedbałość o zabytek narodowy wywołał te zabiegi. Z dwóch złych, jedno zawsze jest lepsze. To też sprawa poszła daléj, w tym celu zaciągnięto pożyczkę 300 tysięcy złp., debatowano nad planami, aż w końcu wionął wiatr z innéj strony — zwrócono fundusz na rozprzestrzenienie szpitala św. Łazarza. Lecz Łazarz pozostał Łazarzem jakim był, a ten sam los spotkał i Sukiennice. W r. 1850 Rada Miasta wyznaczyła komisyą i poruczyła jéj wykonanie planów — znów sprawa zaspana. Śmiech bierze. Roku 1862 złożono delegacyę z hr. Adama Potockiego (syna Artura) Piotra hr. Moszyńskiego, Konstantego Benoego, Lesława Łukaszewicza, Stanisława Boguńskiego. Komitet ten pod prezydencyą hr. Moszyńskiego wziął się gorliwie do pracy — już był plan potwierdzony, pozostawało tylko brać się do roboty, ale brak funduszów nervus rerum koniec sprawie położył. Czyżby i teraz stać się tak miało? W owym czasie p. Kremer, wyższy urzędnik budownictwa w kraju, wygotował plan, który znalazł poparcie w ówczesnym naczelniku rządu w hr. Henryku Clam-Martinic. Skończyło się jak zwykle.

Po tylu zawadach, próżnych i czczych deklamacyach, po tylokrotnem zaniedbanin sprawy, czyż i w obec nas, którzy ganimy niedbałość przeszłych pokoleń miałby chylić się ku zupełnéj ruinie i zagładzie pomnik narodowéj sztuki z wieku XIV? Byłaby to plama nie do przebaczenia na naszym społeczeństwie. Jeżeli chlubimy się miłością ojczyzny, to niedozwalajmy ginąć zabytkom narodowym, bo one codziennie stojąc przed naszymi oczami, łączą nas z narodową przeszłością, a przez to nas odżywiają. Sukiennice niby staruszek zgarbiony nie wyciąga ręki po jałmużnę, ale stoi jak wyrzut sumienia narodowego. Nieśmy więc ofiary by i spółczesne nam usiłowania nie spełzły na niczém — my, co tak nale-

galiśmy by insygnia i pierścień znaleziony przy kościach Kazimierza Wielkiego zostały złożone napowrót do grobu i aby tym sposobem zapobiedz zniknięciu i zagubie zabytków narodowych, okażmy równą troskliwość o Sukiennice, boć to także zabytek z naszéj przeszłości, by zanim szczera ochota wzniesie jéj mury, nie runęła w gruzy.

Mówiąc o Sukiennicach, trudno pominąć milczeniem tradycyę o nożu wiszącym na łańcuchu od strony ulicy Siennéj. Dwaj bracia budowali wieże kościoła Panny Maryi. Starszy z nich widząc że go młodszy prześciga w robocie i wieżą swą wyżéj w niebiosa sięga, udaje się do zbrodni, z bratobójczéj ręki legł młodszy. Po tym czynie starszy dręczony sumieniem, odbiera sobie życie tym samym nożem. Na tę pamiątkę zawieszono nóż na Sukiennicach. Fakt ten inaczéj tłómaczą uczeni. Nóż u nich wisi na znak magdeburskiego prawa. Jeżeli rzecz kradziona mniéj niż trzy złote ważyła, a kradzież jawnie i we dnie spełnioną była, złodziéj u pręgi ma być bity, a włosy u czupryny mu związą i obetną. Nóż wtedy wiszący w Sukiennicach służył do obcinania włosów, a karę tę publicznie spełniano. Skoro zaczęto nosić krótkie włosy, karano obcięciem kawałka ucha, lub nacechowaniem nosa. Co tém prawdopodobniejsze, iż na miejscach targowych, najwięcéj kręci się łotrów, czychających na cudzą własność. Prawdą to jest uniwersalną bez względu na różnicę miejsca i czasu.

ROZMAITOŚCI.

Mickiewicz o Twardowskim.

Czytelnikom naszym znaną jest bezwątpienia z pieśni, teatru, historyi postać czarnoksiężnika Twardowskiego, postać mistyczna, pociągająca pióra poetów. Podobnego Twardowskiego mają wszystkie niemal narody, najbliższy nam niemiecki, zna go pod imieniem Fausta, o którym największy niemiecki poeta Goethe napisał wielki dramat. Po przedstawieniu tego dramatu na scenie w Wajmarze, pytał znakomity poeta Antoni Edward Odyniec Adama Mickiewicza, czemu tenże nie napisze Twardowskiego. Na to rzekł nasz wieszcz: „Istotnie wiele razy przemyśliwałem nad tem, zwlaszcza będąc w wesołym humorze, bo nasz Twardowski według mego planu musiałby być przez pół jowialnym — jeżeli nie on sam, to przynajmniéj poemat o nim. Jowialność ta zaś mianowicie mogłaby być w ustawicznych kłopotach djabła o duszę swojego pupila, która mu się co chwila chce wymknąć; to jest, że ulegając wszelkim pokusom, które mu djabeł podsuwa, i broniąc złe na wszystkie strony, działa on zawsze tylko z fantazyi, z junakieryi i lekkomyślności, ale pomimo wszelkich usiłowań djabła, nigdy się nie da doprowadzić do tego, aby czynił złe ze złéj woli, z wiedzą i z zamiłowaniem złego, choćby nawet dla dogodzenia sam sobie. Chce on tylko tego jednego: módz wszystko i robić wszystko, co mu się podoba, bez żadnéj innéj pracy, prócz zachcenia; — i dla tego jedynie zapisuje się djabłu. Tymczasem na każdym kroku spotyka się z kimś, albo z czémś takiém, co go ku dobremu pociąga; i djabeł musi wysilać się na sztuki, aby go wnet od tego odwrócić; — co mu się też bez trudności udaje. Największy jednak ma kłopot ze szczerą i niezachwianą w nim miłością matki, choć ją sam wciąż bezwiednie dręczy i zabija, i w ogólności z Polkami. Bo co go pokusi przez którą, to zaraz w każdéj znajduje się jakiś pierwiastek, który go na dobrą drogę nawraca; tak, że djabeł musi nakoniec sprowadzić jakąś paryżankę, w orszaku Maryi Ludwiki, aby się już z téj strony całkiem zabezpieczyć. Ale i na innych punktach toż samo. Twardowski, póki broi nie uważa na nic; ale jak tylko skutek swoich brojeń zobaczy, przeraża się i zaczyna żałować. Bojaźń srogości ojca, który go czeka z kańczukiem i surowość księdza Rejensa, który go straszy djabłami, i za figle wypędza z konwiktu nasuwa mu pierwszą myśl szukania pomocy u djabła. Przez junakieryą podpisuje cyrograf. Ale się zawsze w gruncie boi Pana Boga, jak ojca, a nie śmiąc Mu, jak ojcu, nawijać się na oczy i sam wprost udawać się do Niego; akkomoduje się jednak skrycie Najświętszéj Pannie, jako matce. skarbiąc sobie jéj łaskę w potrzebie. A że jest przytém poetą, — spotkawszy więc raz, jadąc na łowy kwestarza, któremu jego charty z poduszczenia djabła wydusiły barany; obiecuje mu na przeproszenie napisać Godzinki i ciągle do nich w myśli powraca, ilekroć lepsze uczucie w sercu jego zaświta. To więc jest drugie udręczenie szatana. Trzecie ma w życiu jego publiczném. Twardowski robi wszystko, co mu djabeł podszepnie, ale zawsze w tém przekonaniu, że co on chce, to będzie najlepiéj. Krzyczy, wichrzy, przeszkadza i psuje to wszystko, co rozumni dobrego chcą zrobić; ale ledwo złe skutki spostrzeże, gotówby się upamiętać po szkodzie, gdyby po zarazdjabeł nie pokusił na nowo. Ale i djabłu nakoniec nie staje konceptów i cierpliwości; tém bardziéj, iż zaczyna postrzegać, że Twardowski, zamiast brnąć z wiekiem w egoizm i pychę, wytrzeźwia się owszem coraz widoczniéj z fantazyi i szału i tylko względem niego staje się butniejszym. Nie czeka więc już na chwilę złéj woli i postanawia porwać go podstępem, nim się całkiém z płochości wyleczy. Ale i tu przerachował się djabeł. Twardowski uznawszy podstęp, używa praw słusznéj obrony. Porwał dziecko i zasłania się niewinnością jego. A choć wreście, przez punkt honoru, dla dotrzymania nobile verbum, siada na koń, aby jechać z djabłami; — wprzód jednakże kończy Godzinki, które też pod słowem szlacheckiém kwestarzowi napisać obiecał — i skutkiem tego wszystkiego, nie idzie wprost na potępienie, ale jak chwiał się tylko między złém a dobrém, i ani do złéj woli, ani do skruchy nie doszedł; tak zawieszony w powietrzu, pomiędzy życiem a śmiercią, pomiędzy niebem a piekłem, oczekuje na sąd ostateczny.“

Kto zna Fausta napisanego przez Goethego i porówna z Twardowskim jakiego miéć chciał nasz Mickiewicz, ten przyzna wyższość pomysłowi naszego rodaka. Czuć w tym pomyśle nie tylko, że jest naszym, polskim, lecz ową wielką świętość religii. Żałować należy, że Mickiewicz planu tego nie wykonał, bo raz więcéj moglibyśmy okazać, że polska praca wyżéj stoi od wszelkich innych, że nie ma jak nasze własne. Na okazanie tego ostatniego twierdzenia, Sobótka zwracać będzie pilniejszą niż dotąd uwagę swych czytelników. Czytelnicy nasi niechaj raczą o tém swych znajomych, którzy dotychczas Sobótki nie trzymają umiadomić, by tym sposobem rozszerzyć koło czytelników; — jeszcze z tysiąc egzemplarzy więcéj mogłoby się u nas rozchodzić, mianowicie przy tak nizkiéj cenie prenumeracyjnéj.

Z.

Szarada.

Pierwsze — podłéj natury —
Korzyść jedna z jego skóry.
Drugie — pani tem u nas znana
Że głowa choć ukoronowana
Mieściła się pod jéj pantofelkiem.
Razem — miastem pięknem — wielkiem.

(Rozwiązanie szarady w nr. 29: ***Kulisy***.)

Wiadomość o nowych książkach.

Moskiewskie na Litwie rządy (ciąg dalszy „Czarnéj księgi.“) 1 tal. 20 sgr.
O chlebie i wodzie. Krotochwila 5 sgr.
Posiew cnoty. Powieści dla młodzieży. 10 sgr.
Ségur, X., Wolnomularze czém są, co robią i czego chcą... 10 sgr.
Studziński. Zasady muzyki. 1 tal. 12 sgr. 6 fen.
Wierciszewski, Kazania. 2 tomy. 2 tal. 20 sgr.
Zabiegi Moskwy nad Dunajem. 16 sgr.

Mieczysława Leitgebra,
Księgarnia i wypożyczalnia Nut.

PUSZKA DO LISTOW.

Panu N. w Inowrocławiu. Pisz Pan prozą — z nadesłanego wiersza nie możemy korzystać. Panu R. Z. w Środzie. Dziękujemy — podobne szkice historyczne są dla nas zawsze pożądanem. Panu S. we Lwowie. Dla nas nie odpowiednie — prosimy o pamięć i o coś innego z pańskiéj teki.

Redaktor odpowiedzialny: (w zastępstwie) Mieczysław Leitgeber. — Nakładem Księgarni Mieczysława Leitgebra w Poznaniu.
Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.